ZDRÓJ WIELKOPOLSKIE

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE

ROK V POZNAŃ LIPIEC-SIERPIEŃ 1935 NR. 7-8 (46-7)

Wydawca: ANDRZEJ PRĄDZYŃSKI Redaktor: MARJAN TURWID



STANISŁAW BRZĘCZKOWSKI „LATO" (linoryt orygin.)

AUTORZY ZESZYTU:

Stanisław Przybyszewski
Juljan Szpunar
Jan Piechocki
Józef Kołodziejczyk
Leonard Turkowski
Józef Birkenmajer
Stefan Wojcieszak
Janina Derynżanka
Aleksander Janta-Połczyński
Zdzisław Grott
Stefan Szajdak
Florjan Jernas
Wanda Brzeska
Stefan Kadjasz
Adam Dytkiewicz
Leon Kaczmarek
Tadeusz Pietrykowski
Janusz Czarnowodzki
Marjan Turwid
Teodor Rosicki

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI:

ŻAL DO POLSKI PRZED WYJAZDEM DO MONACHJUM W R. 1906

Pobyt Przybyszewskiego w Warszawie w latach 1901—1905 skończył się fiaskiem. Wobec wybuchu rewolucji należało wyjeżdżać pośpiesznie. Oparcie stanowił w pierwszych chwilach Inowrocław, następnie Toruń. Położenie małżonków nazajutrz po zawarciu ślubu, dnia 11. 4. 05, było nie do pozazdroszczenia. Źródła dochodu zostały za kordonem, teka autorska świeciła pustkami, dramat „Śluby" nie mógł znaleźć nakładcy. Zdaje się, że ten właśnie szczegół zaciężył najfatalniej na samopoczuciu pisarza. Z Krakowa nadchodziły echa sukcesów teatralnych Wyspiańskiego, a on, Przybyszewski, niegdyś bożyszcze Młodej Polski, władca literackiego Krakowa, siedzi teraz w sprusaczałym Toruniu i nie może sprzedać owocu swej pracy. Na domiar nieszczęścia żona Jadwiga, po kilkoletniem pożyciu z poetą, nie szczędzi mu słów krytyki. Szczególnie okres warszawski był dla niej ciężki z powodu alkoholizmu Przybyszewskiego. Bawiła we Lwowie, następnie w Monachjum, otrzymuje obecnie zaklęcia i przyrzeczenia poprawy ze strony męża.

Dla nastroju tych chwil jest list niniejszy, pochodzący z początków roku 1906, bardzo charakterystyczny. Maluje on wymownie rozgoryczenie poety, jego zranioną dumę i wogóle żal do Polski, do swoich, którzy go nie przyjęli, jak tego pragnął.

Stanisław Helsztyński.

Warszawa.

TEKST LISTU

Moje jedyne najukochańsze złoto, och, gdybym ja mógł wlać w Ciebie wiarę w moją nieskończoną miłość i ufność, bezwzględną ufność we mnie.

Jakie to życie byłoby szczęśliwe i bogate, a tak ten nieustanny lęk, że mnie fałszywie zrozumiesz, ta obawa, że przy moich najszczerszych, najgorętszych objawach miłości na niewiarę lub podejrzenie napotkam. Jak to niewymownie męczy. Czyż rzeczywiście nie możesz sobie wyobrazić, że ja byłem w Warszawie ciężko chory i delirant? Przecież to tyle razy z taką szaloną wściekłością wybuchiwało, że za każdym razem życiu groziło i jakżeż ja wtedy miałem być jak normalny człowiek? Licz się ze mną takim jakim mnie teraz znasz z całą moją miłością bez granic, z całym bezmiarem tkliwości i bezdennego przywiązania. Teraz rzeczywiście dzień mój ślepy, a noc moja głucha. Szczególnie noce są przykre — budząc się do życia organizm jest niespokojny, bardzo często się budzę i tęsknię za Tobą. Tylko jedna myśl stawia mnie na nogi: będziesz zdrów! Bądź spokojny i cierpliwy.

Czuję że siły powoli wracają i to mi dodaje otuchy i odwagi.

Śmielej już i pewniej patrzę przed siebie.

Tak, bo i pewność siebie wraca, mimo, że jak się przekonywuję w Polsce mnie bojkotować poczynają. Wyspiański, Wyspiański i Wyspiański bez końca w teatrze, zemną się całkiem nie liczą.

On stworzył teatr, on stoi sam jeden a oprócz niego nic niema. W Wiedniu było grane w „Intimes Theatr" 23 grudnia „Złote Runo" — zacz z niechętnych krytyk widać, że miało powodzenie. Ciekawe tylko, że z całej dużej kolonji polskiej, żaden Landsmann nie przyszedł. — Bez dopisku otrzymałem z redakcji „Die Zeit" recenzję z podkreślonym ostatnim ustępem. Irytuje to trochę, jeżeli pomyślę coby to za rajwach się zrobił, gdyby w Wiedniu jakiś dramat polski choćby najnędzniejszy był grany.

Pamiętam, że gdy bardzo lichy fortepianista Radwan dawał koncert w Paryżu to cała Polonia się zleciała i swoim frenetycznym oklaskiem zmusiła poprostu prasę francuską do skonstatowania niebywałego powodzenia.

Z Warszawy zamiast odpowiedzi od Lorentowicza otrzymałem jakieś „Gazety Nowej" jałowe pismo. jak Kurjer Codzienny. Nic w niem.

Moje ty najsłodsze — tylko tem wszystkiem się nie trap. Trzeba stanąć na wyżynie Beethovenowskiej i powiedzieć na to wszystko: „Die Stellung in der Weltliteratur werden Sie mir doch nicht rauben".

Co za cudowne powiedzenie, mówię i powtarzam to samo z tem samem głębokiem przeświadczeniem, że mam prawo to samo sobie i Tobie mówić, Tobie jedynej, bo poza Tobą nikt dla mnie nie istnieje.

Mam ja tu, mam godziny strasznych zwątpień, łamania się z sobą, stawiania sobie pytań bez liku, czym rzeczywiście wart powiedzenia B. a im się czuję silniejszy, tem cięższa handra mnie trapi — ale gdy sobie czytam „Odw. Baśń", która ustawicznie leży na biurku i wciąż do niej zaglądam, muszę tobie stanowczo odpowiedzieć: mam!

A czytając kilkakrotnie „Śluby" doszedłem do tego przekonania, że wprowadzam obłąkaniem Poli nowy motyw dramatyczny, rozpoczynam *na nowo* sprawę już załatwioną, zamiast echami tylko pozwolić się wybrzmieć napiętej melodji.

Analogiczny błąd popełniłem w Matce.

I dlatego koniec czwartego aktu babrze mi całość. Wprowadziłem na koniec *nowy* motyw palenie się fabryk, zamiast zakończyć poprostu słowami przyjaciela po całej awanturze z Borowskim: Chodźmy na nowy trud — na to powinien się tylko Konrad obejrzeć, rzucić okiem wstecz na całą rozegraną już tragedję i iść. Cały fatalny błąd było wogóle przyspasabianie przez trzy akty ostatnie nowego motywu, a którym się dramat jak *najfatalniej kończy.*

I w tym wypadku, a więc co do „Ślubów" dramat cały już rozegrany, bo to dramat Zyg. i Klary, a Pola i Krzycki są obramowaniem jego, błąd, że na koniec dramatu wysuwam nagle na główny plan Polę i rozpoczynam niejako jej dramatem.

Zmieniłem więc koniec i posełam Ci go — co na niego powiesz. Pola tu pozostaje jako echo Jestem sam bardzo zadowolony, żem tak kwestję rozwiązał i z gorącą niecierpliwością oczekuję Twego zdania. W każdym razie, widzisz, że siła moja twórcza nie próżnuje — niestety Fontane napisał mi list, przypominając mi wcale niedwuznacznie słowo honoru co do tłomaczenia Androgyny, dziś się zabiorę, będzie to zresztą znakomite przygotowanie do mojej własnej pracy twórczej, A rwę się do pracy. Nie będę forsował, przecholowywał jak w dwóch pierwszych miesiącach, ale już na serjo rozpocznę.

Bardzo, bardzo spragniony jestem pracy.

A tem więcej, że im więcej się przekonywuję, że za późno. Już palce za sztywne o karjerze koncertanta nie mogę marzyć, tylko rękę całkiembym sobie popsuł.

Tego się przy czterdziestce nie zdobywa.

Tyle umiem by grać dla Ciebie, by całemi godzinami grać dla Ciebie, Ciebie jedyna moja i rozerwać Cię jeżeli dalej pracuję, tylko dlatego, by wszystko ci grać, co zapragniesz. Ja tylko dla Ciebie żyję, wszystko dla Ciebie — dla ludzi nie robię i nie zrobię ani na maleńką kreseczkę ustępstwa. A nowe perspektywy, które Ty kochasz. Wszystko Ty, Ty, Ty cudu mój jedyny.

Hyacynty Twoje pielęgnuję bezustannie, ale rosną niemrawo. Postawiłem je bliżej pieca, daję im co parę dni wody -- żyją, zapuszczają coraz głębsze korzenie, ale w górę się nie rozwijają. Pewnoś za rychło wystawiła je na światło.

Androgynę sam będę tłomaczył — nie chcę nikogo. Nie lękam się możliwej sposobności do picia, bo

to bezpowrotnie minęło, ale mi niedobrze z ludźmi, ja ich nie rozumiem ani nie odczuwam, ani oni mnie także. Mnie tylko z Tobą dobrze, och jak mi Cię brak, Jun tu.

Lękam się nawet pisać, jak mi cię brak by Cię nie smucić. A przetrwać ten czas muszę by być zdrów, zdrów i tak pełen siły. Tak mi się coś majaczy, jakaś słodka nadzieja, nieskończenie słodka, że za miesiąc przyjadę do Monachium, a potem na wiosnę pojedziemy wspólnie do Paryża. Nie pieszczę zbytnio tej nadzieji bo się lękam rozczarowania, ale serce mi drży na tę myśl. Z Tobą widzieć ten Paryż, gdzie zaledwie parę ulic znam.

Budzi się we mnie pragnienie życia, młodości, wiary w me siły i to wszystko razem z Tobą, jedyna.

Straszna rzecz jak teraz trzeba być rozsądnym i ostrożnym. Zemną muszę się teraz obchodzić, jak z wątłą rośliną, która w wspaniały kwiat rozkwitnąć może, tylko cierpliwości.

Stoją mi na myśli hyacynty, na które właśnie patrzę.

Junuchna najsłodsza, list ten piszę blisko dwie godziny — do widzenia najsłodsza ukochane dziecko moje, dziecko najkosztowniejsze duszy mej i serca mego.

Twój Stach.

P. S. Napisz mi natychmiast Twoje zdanie co do tej ostatniej sceny i zwróć mi ją.

JULJAN SZPUNAR:

ZMIERZCH SZYMBORZA

Niemożność rozwiązania mnóstwa zagadek otaczających nas dokoła, oraz wytłumaczenia i zrozumienia wszystkiego, co pragnęłoby się poznać w przyczynach i skutkach, nie jest znowu tak wielkim dramatem, jakby się to napozór wydawało. Te zagadki i tajemnice stanowią ogromny urok życia, a opór, jaki one stawiają myśli badawczej człowieka powoduje nieustanny pęd ku postępowi. Jedną z takich zagadek, która dręczy i niepokoi, jest pojawianie się wielkich ludzi tam, gdziebyśmy się ich najmniej spodziewali, gdzie warunki potemu są najmniej sprzyjające. Dlatego interesuje nas nietylko ich złożona osobowość, ich najistotniejsze *ja,* ale co ciekawe w danym wypadku, i środowisko rodzinne, atmosfera domowa, jednem słowem, miejsce urodzenia. Ono ma w sobie coś osobliwego, co ciągnie nieprzeparcie, wabi do siebie i nęci. Wszak te, a nie inne warunki musiały wpłynąć nietylko na talent, ale i na kierunek oraz rodzaj twórczości. Przybyszewski i Kasprowicz mogli się urodzić jedynie tylko na Kujawach, jak Tetmajer, czy Orkan na Podhalu, Żegadłowicz w Beskidach, Mickiewicz na Wileńszczyźnie.

W tym splocie nierozwikłanych zagadek tkwi jeszcze jedna tajemnica. Oto w dwu sąsiadujących ze sobą wioskach, w tym samym niemal czasie urodzili się dwaj niepospolici pisarze, różniący się między sobą zasadniczo, z których jeden, Kasprowicz, sięga wyżyn genjusza, a drugi, Przybyszewski, musi być uznany za talent nadzwyczajny.

Nie siląc się bynajmniej na próby rozwiązania którejkolwiek z tych zagadek, pragnąłbym jedynie zwrócić uwagę na fakt niewątpliwy, że miejsce urodzenia wielkiego człowieka znaczy więcej, niźli jakakolwiek inna miejscowość, związana z jego późniejszem życiem, działalnością lub śmiercią. Nie we Wrocławiu, Lwowie czy Poroninie należy szukać drogi do zrozumienia wielkiego poety, lecz raczej tu, w Szymborzu. Odczuwamy to podświadomie, że Nowogródek, Krzemieniec, Zutów, Łojewo, czy Szymborze więcej nam powiedzą, niż Wilno, Warszawa, Berlin, Zakopane, aczkolwiek zdawałoby się, że w tych właśnie miastach przejawił się duch twórczy tych niepospolitych Polaków. W fakcie, że miejsce urodzenia wielkiego człowieka stanowi cel wędrówek samotnych i zbiorowych, tkwi jakaś nieodgadniona a nęcąca zagadka. Idziemy tam, bo musimy, bo się nam zdaje, że nadychawszy się tej atmosfery, sami urośniemy cokolwiek a przynajmniej pojmiemy lepiej drogi twórcze danej wielkości. Rzecz oczywista, że w tych wędrówkach i pospolity snobizm gra rolę niepoślednią, ale to nie podważa wcale istoty zagadnienia.



Stanisław Bręczkowski *„Chaty“* *(linoryt oryg.)*

Szymborze zwiedziłem niejeden raz i w różnych okresach czasu, a chociaż niema już tego domku, gdzie się urodził Kasprowicz, ani „krępego sadu wiśniowego“, który tak pięknie poeta opiewał, chociaż wiele się tutaj zmieniło i wieś ta mało podobna do tej z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, to przecież duch nieśmiertelnego twórcy „Hymnów“ unosi się jeszcze nad polami, łanami, zagląda do tej i owej chałupy, błąka się po łąkach, łęgach i nierównych, pagórkowatych drożynach a każda krówka przypomina nam chłopca, który pasąc bydełko, rozkoszował się Homerem, Wergilim, Horacym. Jeszcze się tu nie wszystko zatarło, jeszcze to i owo pozostało takiem, jakiem było za lat młodzieńczych Janka, ale powoli wieś zatraca swój dawny, może mniej cywilizowany, lecz jakże drogi nam wygląd „wsi spokojnej, wsi wesołej“ — a niebawem proces ten spotęguje się nader tragicznie.

Szymborze, włączone od r. 1934 do Inowrocławia, pójdzie inną linją rozwojową, zatraci sobie właściwy koloryt, stanie się bezbarwną dzielnicą wielkiej stolicy Kujaw zachodnich. Już dziś rozpoczęto brukowanie szosy z miasta do Szymborza, już znikły miłe w swej naiwności tablice, z których jedna miała napis Szyndborz, a druga Szymborze. — Wkrótce pojawi się tu bruk miejski,

wygodny, oświetlenie elektryczne zgasi brutalnie urok nocy szymborskich a hałaśliwy tramwaj zakłóci spokój tego cichego zakątka, przywożąc mnóstwo snobów, dla których przechadzka byłaby zbyt męcząca i nieciekawa.

Miejsce rodzinne Kasprowicza zapada się w zmierzch, zamiera. Nieuchronny a jakże bolesny porządek rzeczy!

Obszedłem smętny całą wieś, zatrzymałem się dłużej nad stawkiem i ruszyłem ku miastu drogą, którą tysiące razy przemierzył gimnazjasta Janek latem i zimą, wśród zawieruchy i deszczu, podczas mrozów i śniegów. Wtem usłyszałem od małego stawku powyżej dźwięki harmonji ręcznej. Podszedłszy bliżej, ujrzałem może 12-letniego pastuszka. Artysta. Grał bardzo pięknie, ale zgadnijcie, co? Czy może pieśni ludowe, czy smętne a zawadjackie kujawiaki? Nie! Chłopiec grał namiętnie „Barbarę“ a inni pastuszkowie podrygiwali w takt dzikiego rytmu tej „przebojowej“ melodji.

Szymborze, kolebka Kasprowicza, ginie. Może tryb życia wieśniaków zmieni się na lepsze, może ułatwi się naukę ich dzieciom, może uczniowie nie będą chodzili pieszo do odległych zakładów naukowych, jak ich wielki poprzednik, ale kto wie, czy te właśnie trudności, te opory i przeszkody w zdobywaniu wiedzy, nie są koniecznością i warunkiem rozwoju genjusza.

Zrobiło mi się ogromnie przykro, że ginie bezpowrotnie romantyczny czar tej przemiłej wsi kujawskiej, że traci urok i patynę epoki, że pochłonie ją rosnące szybko miasto, że maluczko a Szymborza Kasprowiczowego nigdy już nie ujrzymy.

JAN PIECHOCKI:

UJARZMIONY ŻYWIOŁ*)

Cienki, dużego formatu tomik. Bladoliljowa okładka i kremowy papier. Dyskretny wdzięk solidnej, stonowanej wytworności. Mistrz *Jan Kuglin* czuwał nad graficzną materjalizacją poetyckich snów i pod jego doświadczonem okiem skrojono sukienkę dla pierworodnego dziecka *Szymona Pigwy*. Cóż mieści się pod piękną powłoką książki?

Obowiązek dyskrecji nie pozwala mi zdradzić prawdziwego nazwiska autora *„Wołania nowiu“*. Szymon Pigwa — to pseudonim, którym niby czarnemi okularami maskuje się syn znanego poznańskiego ziemianina i działacza. W życiu cywilnem jest adwokatem. Nie chce widocznie, aby o nim mówiono, że jest „pierwszym poetą między prawnikami“ i odwrotnie. Chętnie wciągnąłbym „Pigwę“ w zasadzkę wywiadu. Interesowałaby mnie szczególnie kwestja bytowania w atmosferze o dwóch różnych ciśnieniach, możność godzenia w sobie dwóch postaw wobec rzeczywistości: logiczno-trzeźwej prawnika i uczuciowo-nastrojowej artysty. Pomijając tymczasem osobę poety ograniczę się do jego *projekcji duchowej*, mieszczącej się na kremowych stronicach tomiku w bladoliljowej oprawie. Projekcja ta zawiera się w 23 poematach i kilku tłumaczeniach z angielskiego.

Przeważają u Pigwy wykroty szarej, zwykłej, prawie banalnej *codzienności*. Niektóre poemaciki przypominają neorealizm w malarstwie (tzw. neue Sachlichkeit) lub pewne chwyty fotografiki współczesnej. Wiersze *Snieg, Woda, Na wsi, Aplikacja sądowa* lub *Wilja w P. K. U.* wywołują asocjacje modnych od kilku lat reprodukcyj fotograficznych o rafinowanie prostych motywach, n. p. kilku kropel na szkle, śladów stóp w piasku, fragmentu błota, jakiegoś liścia. Tak tu jak tam przemawiają niedostrzegane zazwyczaj kształty rzeczy pospolitych i banalnych, obok których przechodzi się obojętnie, aż bystre oko ostro nastawionej soczewki nie ukaże ich artystycznej magji.

Nie znaczy to, aby Pigwa nie odczuwał boleśnie tragizmu bytowania wśród szarych ludzi, w opłotkach prowincjonalnej banalności. Motyw *nudy* jawi się u niego w coraz nowych warjantach. Melancholję spowitego w ponure opary światka znieczula Pigwa sardonicznym *uśmieszkiem urodzonego ironisty*, a od intoksykacji nostalgją ratuje go pasja deformowania ludzi i rzeczy w wklęsłem zwierciadle groteski (por. *Burza morska, Ballada o drzewie genealogicznem, Zyciorys.)*

Wołanie nowiu przepaja fluid natchnienia, ożywia strumień gorącej krwi poetyckiej, chociaż poeta, opanowany intelektualista, nie lubi zatracać się w falach żywiołu i w rytmie „wielkich słów“. To też nawet w chwili, gdy pragnie dać wizję opętańczej mocy sztuki, czyni to w obrazie, w którym *subtelny humor odrazu niweczy podejrzenie o jakąś koturnową grandelokwencję.* W wierszu *Do zecera,* mającym charakter wstępu, czytamy:

— — Lecz kto wie, może rymy zapadną Ci w duszę,
I długo, niespokojnie, kołacząc po głowie,
Zdawna nienaciskane klawisze poruszą...
Śpiącą Twoją fantazję obudzą me słowa.
Ruszysz się o północy. Będziesz cicho nucił,
Dziwną jakąś melodję do odbitych słów,
Przeciągniesz się lubieżnie, i kołdrę odrzucisz,
I przez okno otwarte zawoła Cię nów.
I na parapet okna wejdziesz, uroczysty,
Krokiem pewnym się wedrzesz na śpiczasty dach,
I jak ongiś po morzu chodził sobie Chrystus,
Połazisz, nierealny, po zastygłych mgłach.

Notujemy to, *tłumienie poetyckiego krzyku, to stonowanie gestu, zaprawianie wierszy aromantem humoru i dyskretnej ironji* jako szczegół charakterystyczny dla Pigwy. Ale nietylko dla niego. Podobne symptomy łatwo odszukamy u Sztaudyngera i Swinarskiego, naturalnie z różnicami, uwarunkowanemi indywidualnością talentów. Poezja w Wielkopolsce, jak zresztą w całym kraju, wyzbywa się cech górnolotnego cierpiętnictwa, pozerstwa, koturnowości, weltschmerzu. Może w ten sposób wiersze tracą na „wzniosłej“ odświętności, lecz bliższe są odczuwania normalnego czytelnika i podatniejsze do stania się artykułem pierwszej potrzeby.

Współczesność Pigwy nie jest zresztą uwarunkowana żadnemi łamańcami słownictwa, rytmiki i stylu. Nawet w stosowaniu metafor znać umiarkowanie i powściągliwość. Z prostego materjału mowy, niemal codziennej, buduje Pigwa zwarte wiersze o sugestywnej sile wizji i lekkiej, przejrzystej konstrukcji. Czy w tem trzymaniu się zdala od tzw. awangardyzmu nie jest właśnie krok naprzód? Również i tu można — by mówić o zjawisku symptomatycznem i łatwo zacytować podobne przykłady.

Jeśli chodzi o *przekłady z angielskiego,* ograniczę się do stwierdzenia, że w wyborze przekładanego materjału przejawiają się również scharakteryzowane wyżej elementy psychiki Pigwy. Dowodziłoby to samokrytycyzmu i znajomości nastawienia swego talentu, cech, które niewątpliwie ułatwią Pigwie w przyszłości jeszcze niejedno twórcze osiągnięcie.

*) Szymon Pigwa: Wołanie nowiu — Poznań 1935.

JÓZEF KOŁODZIEJCZYK:

SMOK Z ORNAMENTU

(GROTESKA)

Zaczęło się banalnie, jak każdy dramat. U państwa dentystostwa Poczekajów odbywało się przyjęcie. Wśród nieobecnych brakowało pana Jakuba Loczka, znanego malarza — trudniej powiedzieć — artysty. Albowiem (albo nie wiem) Loczek piastował godność kierownika artystycznego fabryki fajansów. Ubierał cierpliwe (bo martwe) fajanse w szaty ornamentów. Pomimo ciągłego przebywania wśród filiżanek, talerzy itp martwej natury Loczek nie zamienił wyższych aspiracyj w aspirynę, ani smaku sztuki na rzecz apetytu na sztukę mięsa.

Nieprawdopodobne — a jednak nie ballada.

Na owem przyjęciu u Poczekajów zachowywał się Loczek jak każdy malarz — pił. W stanie lekkiego podchmielenia wpadł w ciężkie zdumienie. Na chińskim wazonie zauważył bardzo oryginalny fragment ornamentacyjny. Kombinacja smoków i nagich kobiet. Bardzo mu to się podobało.

— Muszę to sobie zapamiętać — pomyślał sobie, wypił sobie i stracił pamięć.

Nazajutrz czuł się jak potłuczony fajans. Miał taki kociokwik, że zleciały się koty z całej dzielnicy.

Loczek trzymał się za głowę i usiłował myśleć. Zbierał myśli, jak rozrzucone części garderoby. Trzeba było kilku filiżanek (znowu ten fajans!) czarnej kawy, aby się doprowadzić do normalnego myślenia (jedynej niekaralnej czynności). A gdy Loczek począł sobie nieco przypominać przebieg poprzedniego wieczoru, zakończył te przypomnienia na fragmencie dekoracyjnym wazonu. Smoki i kobiety. Dobrze. Ale jak?

Loczek porwał za ołówek i papier. Rysował. Rysował.

Narysował kilkaset ornamentów.

Ale to nie to.

A znów to — to nie tamto.

Nie jadł obiadu, nie poszedł do fabryki, nie jadł kolacji, nie poszedł spać — rysował. Może wymyślił setki nowych, piękniejszych fragmentów dekoracyjnych. Lecz żaden z nich go nie zadowolił. Tamten ornament utkwił mu w mózgu jak gwóźdź. Próbował zająć się czemś innem, lecz nie mógł. Uparty ornament napełniał go jakąś niesamowicie namiętną ciekawością. Zeby go jeszcze raz zobaczyć i narysować — dziwne pragnienie artysty umilkłoby jak szczekający pies, który nareszcie dorwał się do spodni. Ale...

Ale, na nieszczęście, Loczek przypomniał sobie, że na przyjęciu u Poczekajów spił się, jak czterech marynarzy, więc nie może tak bezpośrednio po przyjęciu składać wizyty. Niech ochłoną z wrażenia.

A tymczasem fragment smokowokobiecy męczył go i dręczył, gorzej od czkawki, gorzej od teściowej, gorzej od urzędu skarbowego, ba, gorzej od przyjaciela.

W głowie Loczka, która na przekór nazwisku była łysa, zrodziła się szaleńcza myśl. (Tu akcja dochodzi do wyżyn napięcia — proszę wygodniej usiąść). Loczek ni mniej, ni więcej — postanowił się włamać do willi państwa dentystostwa Poczekajów. Włamać się, zobaczyć raz jeszcze chiński wazon (tak na trzeźwo), zapamiętać sobie ornament i mieć raz na zawsze spokój.

Zrobił to. Przelazł przez parkan. Po rynnie wszedł na balkon pierwszego piętra. Otworzył drzwi. Zapalił kieszonkową latarkę elektryczną. Dopadł do wazy. Wtem..,

Wtem błysnęło światło. Ręce do góry!

Za usiłowaną kradzież z włamaniem został Loczek skazany na 6 miesięcy więzienia.

Przez pierwszy miesiąc ściany celi pokryły się nieskończoną ilością najrozmaitszych warjantów ornamentu smokokobiecego.

Przez następne dwa miesiące Loczek stracił nadzieję. Uspokoił się. Zrezygnował. Z determinacją machnął ręką na ornamenty. Nawet ów ornament, właśnie ten z wazonu u Poczekajów, stał się mu obojętny.

Przyszła chwila wypuszczenia Loczka na wolność. Został wezwany do kancelarji naczelnika więzienia. Wręczono mu papiery.

Już miał odchodzić, kiedy wzrok jego padł na stojący na biurku wazon z kwiatami. Ten sam fragment. Jest nareszcie. W nieopanowanem uniesieniu Loczek chwycił wazon i rozbił go na drobne kawałki. Na bardzo drobne kawałki.



Stanisław Brzęczkowski *„Drzewa" (linoryt oryg.)*

Leonard Turkowski:

(Z cyklu „Poznań")

BESTJA NA SZCZYCIE OPERY

Ta na operze bestja
wykuta z kamienia
coś mówi nam —
nie jest niemym głazem:
dawniej była koniem do ciężkiej
roboty niemczenia,
dziś jest prawdziwym
lekkim i lotnym pegazem.

JÓZEF BIRKENMAJER:

PIEŚŃ O PŁOWCACH I SZARYM ŻOŁNIERZU

Na ugorach, na stężałej ziemi,
pośród wrzosów szron biały połyska.
Babie lato nitkami srebrnemi
przyodziało posępne ścierniska.

Słońce wstało — i blademi barwy
oświeciło bezleśne rozłogi,
Na równinie, jak snów ciężkich larwy,
mgły się snują i dymy pożogi.

Leci, wiatrem miotany szyderczo,
liść — zwarzony nocnemi przymrozki.
W pustych sadach nagie drzewa sterczą,
nagie stoi zgorzelisko wioski.

Przed miesiącem z pól zwiezione plony
teraz marnie gorzeją po gumnach.
Czarną chmurą nadleciały wrony,
szarpiąc trupy, niegrzebane w trumnach.

Nadleciały — i złowrogo kraczą,
wilk i wicher wyją ponad zgliszcze.
Garstka zbiegów rozmyśla z rozpaczą:
czy straconą dziedzinę odzyszcze.

A do wtóru tym pieśniom martwoty,
gwar nieznany huczy, w uszach klaszcze.
Widać białe w oddali namioty,
z czarnym krzyżem białe widać płaszcze.

To dziś Krzyżak, co w polskie wpadł łany,
spalił gumna i chaty płowieckie.
Jako pająk, krzyżakiem przezwany,
wkrąg rozpostarł swe sieci zdradzieckie.

Jęk się szerzy po polskiej ziemicy,
wszędy echem stokrotnem odbijan,
że rycerze Krzyża — zakonnicy —
lżą kościoły — mordują chrześcijan!

Kraj, co miodem płynął, krwią dziś spływa,
w łzach i w dymie nie widać już słońca...
Doloż nasza, dolo nieszczęśliwa!
Kiedyż, kiedy się zjawi obrońca?

— — — — — — — — — — — —

Przebóg! Coż tam zabłysło śród mgławic,
w sinej dali, na lasów krawędzi?
Jako w chmurach rój gromkich błyskawic,
tak w kurzawie huf rycerzy pędzi!

Lecą... Zdala zbroic szumią chrzęsty,
ziemia głucho stukiem kopyt tętni.
Lecą — żądzą ogarnięci zemsty —
żądzą walki śmiertelnej namiętni.

Król Włodzisław hufce te prowadził —
zwany Łoktek — iż mały był wzrostem.
Strzymał wojsko — szeregi wyładził —
i przemówił takiem słowem prostem:

„Spójrzcie, chłopy! Tam rozbił obozy
wróg, co naszą ziemię napadł zdradnie.
Mamyż czekać śród lęków i grozy,
aż on na nas zdradziecko napadnie?

O nie dozwól mi Pan Bóg, bych miał — ci
patrzeć w strachu i gnuśnym bezczynie,
jak wróg żony i córki nam gwałci,
jak rabuje nam domy, świątynie!

My — o własną chudobę stoimy;
tam — o cudze walczy knecht-najemca.
Krwią i łzami woła kraj rodzimy,
byśmy precz wygnali cudzoziemca!

Lud nasz ufne wyciąga k nam dłonie:
jeśli nam nie zaufa — to komuż?
Spieszmy walczyć ku jego obronie:
tak nam, Panie nasz Kryste dopomóż"!

Mieczem skinął — i stopę wparł w strzemię.
Koń — co żar miał w źrenicy i chrapach —
niecierpliwie kopytem bił ziemię,
jakby blisko krwi świeżej czuł zapach.

„Naprzód"! — Okrzyk rycerzy podchwycą —
błysły włócznie — miecz z pochew wydobyt...
Buchnął w niebo śpiew: „Bogurodzico!
Po żywocie daj nam rajski pobyt"!

Spiął rumaka — i w bój ruszył śmiało
król sędziwy, co nie znał bojaźni.
Za nim — groźną, lecz sforną nawałą —
w bój pomknęli rycerze żelaźni.

Wróg nie zmieszkał hardo stawić czoła,
taką nagłą rzeczy widząc postać.
Łańcuchami szyki wzwiódł dokoła,
by tem łacniej w miejscu mógł się ostać.

Już się zwarli w natarciu gorącem —
krzyk się podniósł — zgiełk — piekielny zamęt...
Wrzawa bitwy piorunów tysiącem
uderzała o niebios firmament.

Bitwa była to wielka i sławna!
Próżno odsiecz krzyżactwu nadciąga:
wzięt w niewolę groskomtur Piotr z Pławna
i komtury Gdańska i Elbląga!

— — — — — — — — — — — —

Pół dnia walkę toczono zajadłą,
zmiłowania wzajem nie dajęcy.
Jak wieść niesie, w onej bitwie padło
samych Niemców czterdzieści tysięcy...

A gdy słońce wzbiło się ku górze,
król Włodzisław panem placu ostał.
Obóz wrogów — a w nim skarby duże —
jako zdobycz w ręce swoje dostał.

Ale król ten nie myślał o zysku
ani chciał się skarbem rozkoszować:
pieszo poszedł po pobojowisku
zbierać rannych i zmarłych pochować.

Obok zwłok chorążego Krystyna —
niewiadomo: żywy czy umarły —
leżał Szary Wojownik-chudzina,
a trzy włócznie bok jemu rozdarły.

Żyw był jeszcze: — bo gdy król przechodził,
otwarł oczy... i choć mu jelita
krwią broczyły, wzrok swój rozpogodził.
Więc przystanął król Łoktek i pyta:

„Ty się śmiejesz, Florjanie? Nie przykro-ć?
Bok twój trzema włóczniami rozdarty"!...
— „Królu!... Polska, rozdarta po trzykroć,
dzięki tobie się zrosła — raz czwarty"!...

„Prawda, prawda, mój Szary Wojaku"!
król mu odrzekł, w bojach spracowany;
złych najeźdźców starliśmy do znaku!...
Ale... ciebie wszak bolą te rany"?...

„Królu! Nigdym nie wnosił protestu,
gdym ojczyźnie... krwią składał ofiary...
Przecież z tobą — już w bitwach dwudziestu
mężniem stawał — ja — Żołnierz twój Szary!

Rany żadne nie zwykły mnie boleć...
Gorszą znacznie w sercu chowam bliznę...
Królu!... memu sąsiadowi poleć,
by mym dzieciom... wrócił ojcowiznę"!...

Król się oparł na długim koncerzu
i podumał — i rzekł w odpowiedzi:
„Prawda, prawda, mój Szary Żołnierzu!
I mnie gorzej bolą — źli sąsiedzi"!...

Pieczę nad nim lekarzom powierza:
„Dajcie jemu ratunek coprędzej!
Szary Żołnierz za Króla-Żołnierza
nie powinien ran cierpieć — i nędzy"!

Wiec był zwołan jeszcze przed dnia kresem;
słowom króla przyklaśnięto hucznie:
„Szary Żołnierz mianowan komesem,
a za godło mieć będzie — Trzy Włócznie"!

STEFAN WOJCIESZAK:

LEGENDA O GOŁUCHOWSKIEJ CZAPCE KSIĄŻĘCEJ

Jednym z bardzo licznie odwiedzanych punktów turystycznych Wielkopolski jest Gołuchów, nieduża, ale malownicza wieś leżąca o 12 km na południowy-wschód od miasta Pleszewa a 14 km na północny-zachód od starożytnego miasta Kalisza.

Magnesem, który przyciąga do Gołuchowa rok rocznie turystów i szeregi wycieczek z bliższych i dalszych okolic naszego kraju, a nawet i z zagranicy, jest śliczny zamek renesansowy XX. Czartoryskich, który z całą swą drogocenną zawartością skarbów kultury i sztuki tworzy tu od szeregu lat prawdziwą oazę artystyczną — jedno z najbogatszych muzeów prywatnych nietylko w Polsce ale i w Europie. Szerszemu ogółowi zupełnie nie jest znana ciekawa legenda, której bohaterką jest mitra książęca zawieszona na sznurku u stropu miejscowego kościoła przed ołtarzem św. Anny.

Lud gołuchowski opowiada, że parę wieków temu w ich wiosce przebywał dumny niedowiarek, książę Sapieha, który, chcąc okazać swą potęgę przez zbezczeszczenie domu Bożego, wjechał pewnego razu na koniu do tamtejszego kościoła w chwili odprawiania Mszy św. Książę nie zdjął czapki z głowy a człowieka, który odważnie zwrócił mu uwagę na jego gorszące zachowanie, ciął mieczem i trupem położył w świątyni. A w czasie podniesienia stał się niezwykły wypadek, — mówi dalej legenda — wprost cud: czapka sama uniosła się z głowy księcia i zawisła nad nim w powietrzu. Książę podobno nawrócił się a jego mitra do dziś dnia na pamiątkę wisi w kościele gołuchowskim. —

Legenda powyższa jest tworem czysto fantastycznym i zupełnie nie opiera się na jakimkolwiek prawdziwym fakcie historycznym.



Stanisław Brzęczkowski
Drzeworyt oryg.

Żaden książę Sapieha nigdy z Gołuchowem nie miał nic wspólnego, a „czapka gołuchowska" — jak ją powszechnie się nazywa — to tylko zwykła pamiątka po Rafale Leszczyńskim, wojewodzie bełzko-kujawskim, który był niegdyś dziedzicem Gołuchowa.

Wspomniany Leszczyński, wybitny polityk XVI wieku oddał w roku 1581 kościół gołuchowski Braciom Czeskim, których był zwolennikiem i troskliwym opiekunem. Jednak pod koniec życia powrócił na łono Kościoła katolickiego — i pojednany z Bogiem umarł w roku 1586.

Syn jego Wacław Leszczyński, późniejszy kanclerz w. koronny, przywrócił katolikom kościół w Gołuchowie, i w nim na pamiątkę — a prawdopodobnie w dowód ekspiacji — polecił zamieścić mitrę swego nawróconego ojca Rafała. —

Taka jest więc prawda i taka legenda o gołuchowskiej czapce książęcej.

Janina Derynżanka:

WIERZBY

Na zwykłej polnej drodze,
o ziemi wyschłej i lichej,
przysiadły niskie wierzby
zobojętniałe i ciche.

Niedbałe o pozory —
na wiatr puściły gałązki
z któremi pusty swawolnik
wyczynia harce i pląsy.

Zielone młode listeczki,
skarżą się, szeleszczą głucho,
lecz wierzby tego nie słyszą,
tkwiąc w apatycznym bezruchu.

I siedzą tak zadumane,
poważne mając oblicza —
skulone, ciche wierzby,
głęboko myśląc o niczem.

ALEKSANDER JANTA-POŁCZYŃSKI:

WIERSZ PO PÓŁNOCY

W konieczne słowa trafiać jak w cel, szukaniem celu —
Wpisany w koło życia ten oto trud i praca.
Noce wiedzą najlepiej i ty wiesz, przyjacielu,
Ile nadziei gaśnie i że jej nikt nie wraca.

I że się ani szczęściem ani radością żadną
Nie spełni myśl tworząca, serdeczna, najgorętsza,
Ciężarem słów zamknięta i ciszą serc, bezradną,
Gdy każdy dzień nad nami bezwład wieczności spiętrza.

Potem zgaduję nagle, lecz zawsze nadaremno
Jaką nadludzką wiarą mierzyć ją oko z okiem —
I sens zamkniętej drogi otwiera się przedemną
I głębia nowej nocy, mówiąca tylko mrokiem.

JANINA DERYNŻANKA:

BURZA NAD WARTĄ

Po niebie przewalają się ciemnych chmur stada,
grożąc ulewą deszczu, lub lodowym gradem...

Wicher się nagły porwał i szaleństw niesyty
Miota wściekle wodami rzecznego koryta.

Poszarzałe z wysiłku, mętne fale Warty
Walczą z porywem burzy w obronie upartej...

Ulec muszą — więzione wśród zielonych brzegów
Zcichły, smagane biczem deszczu wiosennego.

Wiatr dziwnie złagodniały oddechem szerokim
Musnął rzekę. Burza zwolna oddała swe kroki.

ZDZISŁAW GROTT:

NA KAPONIERZE

Gwiazdy — na torze i gwiazdy wbite w nieba aksamit —
każdy ma gwiazdę — na ziemi, niebie — co strzeże, mami.
Zimnym, stalowym połyskiem wbiły się w mrok
smugi prostych szyn jak promienie meteorów.
W dali — za drugim mostem — świateł rojnych tłok;
Lubię tu stawać, patrzeć — choćby co wieczoru.

Mostem późny tramwaj rozjęczał chrapliwym chorałem —
Zegar na Zamku — w kir spowity — wydzwonił się cały.
Zastygły drzewa w bezwichrze, czujne gwiazdy lamp —
zaszczękały zwrotnice — echem dźwięcznych gongów
żelazny łoskot wali po szynach z mroku bram
kołami dalekiego pociągu — — — — — — —
Błysnęły krwawe ślepia — rosną: coraz większe —
pióropusz dymu piętrzy się w niebo sennych gwiazd; —
bryznął ciosem świateł w bliskich domów śródpiętrze,
zadudnił mostem — przemknął pociąg z nieznanych miast.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Stężały szyny w trupim blasku latarń —
ciemność się pustką przelewa, most zamarł w przęsłach —
nic ciszy nie rani — próżnia w okiennych kratach —
za mostem maszyna wagonami zatrzęsła.

LEONARD TURKOWSKI:

WIERSZ SŁONECZNY

Wyrzućmy troski na śmietnik,
jak brudne zmięte papiery.
Życie jest takie łatwe,
jak: dwa plus dwa jest cztery.

Życie jest takie łatwe
i takie strasznie ładne.
Inaczej chyba powie,
kto głową na bruk upadnie.

Inaczej chyba powie
idjota — tuman — nietrzeźwy.
Tak ładnie jest na wojence,
gdy fosgen płuca orzeźwi.

Tak ładnie jest na wojence,
gdy można umrzeć bez głowy.
Tak ładnie to jest w życiu,
gdy w niem się brnie do połowy.

Tak ładnie to jest w życiu,
gdy można drwić sobie z losu.
Słońce jest jasne i ciepłe —
szczęśliwi, co chodzą boso.

Słońce jest jasne i ciepłe.
Najlepiej w serca świat bury
włożyć kawałek słońca
ukradzionego z góry.

Włożyć kawałek słońca
i strzelać niem wokół oczyma, —
niema to, jak mieć karabin,
co ogień dla smutków zły ma.

Niema to, jak mieć karabin
i strzelać z niego do losu, —
niema to, jak mieć słońce
i pląsać po niem boso.

STEFAN SZAJDAK:

ROZMYŚLANIA

Morze.
Brzeg dojrzałości i łódka.
W niej żeglarz.

Łódka sunie na Zachód,
a myśli na Wschód.

Płynie, —
bałwaniąc krew.

Życie
przyrasta do nas,
jak słoje wody
lub drzew.

FLORJAN JERNAS:

BALLADA OPERACYJNA

Drzwi szkolne są oszklone
Od góry do dołu —
I nie są strzeżone
Przez dobrych aniołów.

— — — — — — — — — — — —

Wpadł Jurek na szybę
I rozpruł rękę —
Płaczem i krzykiem
rozwieścił mękę...

Przyszedł lekarz —
Owiązał się białym fartuchem
I wymoczył igły i nici
W błękitnej okowicie.

A potem
Uchwyciły chłopca mocne ręce —
I doktór bez pieszczot i gracji
Przystąpił do operacji.

Żgnął w rozdarty mięsień
Kolisto zgiętą igłę
Z przetkniętą przez oko
Nicią białą i ścigłą —
I strzępy wiązał
Okapane krwią.

Rozkrzyczał się chłopczyk
W bolesnych podrygach.

Jezus! Marja!
Jezus! Marja!
Ach! dosyć już tego szycia!!!
Jezus... Marja...
Jezus... Marja...
Dosyć takiego życia!
Puście mnie —
Puście mnie,
Bo umieram! Bo umieram!!!
Dosyć tego wszystkiego,
Bo sobie wydrę włosy!
Już dosyć!
Już dosyć!...

Krzyczał biedny chłopczyna
I kąsał i rzęził,
Lecz wyrwać się nie mógł
Z troskliwej uwięzi.

A doktór cztery razy
Igłą w łokieć żgał
I białe nitki w mięsień
Tkał...
A doktór cztery szwy
Wiązał w pętelki
I przycinał nitki
Trochę zawielkie.

Nic to nie pomogło,
Że chłopiec
Wzywał wszystkich Świętych
Razem i pokolei —
Bo żaden z nich
Aureolą spięty
Nie zstąpił
Z niebieskiej alei...

Tylko anioł-stróż
Cicho niespostrzeżenie
W ciemnym kącie stał —
I mokre perły sypał
I łkał... i łkał...

WANDA BRZESKA:

KLON

Czarnym konarem
ramieniem
zakończonem palcami gałęzi
na ostatnich korzeni uwięzi
nad wyrwą z żółtej gliny
zawisł klon,
ogromnym, fioletowym cieniem,
pod słońcem, świecącem ukośnie,
pod niebem, wichrami szarem,
a wysoko ponad wodami
samotny trzon drzewa.
W dole toń się przelewa,
nurt siny,
wałami.
Wzbiera i rośnie,
i szumi miarowym nawrotem,
wciąż to samo.
Z pomrocznych stron
płynie głos wielkich wód,
które Morze przelewa.
Białą pianą nadbiega
i odpada spowrotem,
gdy fale, dążąc wprzód
cofają krawędzie i łamią
pod brzegu
wykrotem.
Samotny trzon
drzewa
zawisł wysoko nad morzem.
Chyli się czarnem ramieniem
konarem,
pod niebem wichrami szarem,
nad wodnem bezdrożem
patrzy w bezkresne przestrzenie
samotny
klon.

PIEŚNI LUDOWE Z POD KĘPNA

(ZEBRAŁ STEFAN KADJASZ)

I.

1. Niema ci to niema, jak to chłopu żona, (refren)
zaprzągnie do woza, nie potrzeba konia. (refr.)
2. Odprzągnie od woza, zaprzągnie do pługa, (refr.)
ciąg, ciąg, ciąg żonko moja, boś ty moja sługa. (refr.)
3. Odprzągnie od pługa, zaprzągnie do radła, (refr.)
ciąg, ciąg, ciąg żonko moja będziesz lepiej jadła. (refr.)
4. Odprzągnie od radła, zaprzągnie do brony, (refr.)
przypatrzcie się kawalerzy, jak się ćwiczy żony. (refr.)
5. Jak zorzemy zagon, pojedziemy do dom, (refr.)
ciąg, ciąg, ciąg żonko moja, snop ci siana zadom. (refr.)
6. A po snopie siana, dam ci wiadro wody, (refr.)
ciąg, ciąg, ciąg żonko moja, nie stracisz urody. (refr.)

II.

1. Stoi grusza w polu, złote grusze rodzi,
//Powiedz, powiedz moja miła,
kto do ciebie chodzi? (refr.)://
2. Nikt do mnie nie chodzi, tylko Bóg nade mną,
//:tylko ten mój kochaneczek, co tańcował ze mną.://
3. Przyszedł pod okienko, puka w okieneczko:
//:— Wstańże, otwórz moja mała,
moja kochaneczko.://
4. — Ja ci nie otworzę, bo się mamy boję,
//:Mam ja innych na tysiące, o ciebie nie stoję.://
5. Ty o mnie nie stoisz, o konika mego,
//:cóżeś mi go uwiązała u słupa białego.://
6 U słupa białego, u długiej drabiny,
//:zostań z Bogiem moja miła, odjeżdzam do innej.://

III.

1. //:Słoneczko, słoneczko nie zachodź mi jeszcze,://
//:Bo ten mój kochanek, bo ten mój kochanek,
daleko jest jeszcze.://
2. Daleko jest jeszcze, do karczmy wstępuje,://
//:Ach! Boże, mój Boże, ach! Boże, mój Boże,
pieniążki przepije.://
3. //:Pieniążki przepije, i wszystko utraci,://
//:Ach! Boże, mój Boże, ach! Boże, mój Boże,
czem wianek zapłaci.://
4. //:Zapłaci on go drobnemi groszami,://
a ja ci zapłacę, a ja ci zapłacę czterema tysiącami.

IV.

1. Żebym ja wiedziała, gdzie mój miły orze,
poszłabym do niego, choć na jednej nodze,
Oj, dygu, dygu, dygu bom, bom,
dygu bom, bom, dygu bom, bom. (refr.)
2. Żebym ja wiedziała, gdzie mój miły sieje,
poszłabym do niego, chociaż wietrzyk wieje.
Oj, dygu...
3. Żebym ja wiedziała, gdzie mój miły włóczy,
poszłabym do niego, chociaż wietrzyk huczy.
Oj, dygu...
4. Żebym ja wiedziała, gdzie mój miły pije,
zaniosłabym ja mu z waneczką pomyje. Oj, dygu...
5. Z waneczką pomyje, a w misce otręby,
żeby sobie wytarł po gorzołce zęby. Oj, dygu...

V.

1. Gdybym ja miał orle pióra, bujałbym po niebie,
żebym wiedział, że mnie Kochasz,
chodziłbym do ciebia.
Trala lala lala lala lala chodziłbym do ciebie.
2. Tyś fałszywy, tyś fałszywy, ty mnie obmawiałeś,
i tam, gdzie się ogród kończy inną całowałeś.
Trala lala lala lala lala inną całowałeś.
3. Niema nas tu, tylko dwoje, trzeci Bóg na niebie,
nie kocham tak kwiatek róży, jak ja kocham ciebie.
Trala lala lala lala lala — jak ja kocham ciebie.
4. Nie był ja to, był kolega, ja też tam stojałem,
i tak z wielkiej przyjemności raz buziaka dałem.
Trala lala lala lala lala raz buziaka dałem.
5. Nie kłam, nie kłam, bo widziałam własnemi oczyma,
ty masz inną, ja innego, będzie koniec z nami.
Trala lala lala lala lala będzie koniec z nami.

VI.

PIEŚNI WESELNE.

1. Młodo Pani, coś zrobiyła,
żeś ojca, matkę (2 r.) żeś ojca matkę opuściła.
Opuściyła, bo musiała,
przed ołtarz klęknońć, przysiynge złożyć
i ronczke podać kochankowi.
2. Młodo Pani coś zrobiła,
żeś braci, siostry (2 r.), żeś braci, siostry opuściyła.
Opuściyła, bo musiała... (jak w pierwszej).
3. Młodo Pani, coś zrobiła,
żeś nas tu wszystkich (2 r.),
żeś nas tu wszystkich opuściyła
Opuściłya, bo musiała... (jak w pierwszej),
4. Młodo Pani, coś zrobiyła,
żeś swój wianeczek (2 r.),
żeś swój wianeczek utraciyła.
Utraciyła, bo musiała... (jak w pierwszej).
5. Młodo Pani, coś zrobiyła,
żeś swe nazwisko (2 r.),
żeś swe nazwisko przemiyniyła.

VII.

KRAKOWIAKI:

I. W siyni dół, w siyni dół, a przed siyniom górka,
kto sie żyni, kto sie żyni Nowakowa córka.

II. Ty chłopaku, ty mój drogi pocałuj mnie w obie nogi,
a ja ciebie we wonsicek,
ty mnie znowu w sam koncicek.

III. A czemuś ty wonsy odon, czy ja ci się nie podobom?
Opuść wonsy, niech ci wiszom,
upodobaj sobie inszom.

IV. Jydźcie, pijcie, moi mili goście,
a za to Młode Państwo Pana Boga proście.
Jedli, piyli, i sie weselyli,
a za to Młode Państwo Boga nie prosiyli.

V. Idźcie do domu wyżyracze,
Młodo Pani placka płacze.
A czy płacze, czy nie płacze,
idźcie do dom wyżyracze.

VI. 1. Otwiyrajcie pani-matko nowy dom,
a bo jedzie młodo pani, młody pon.
2. Otwiyrajcie pani-matko z hoczyka,
bo wieziymy dwoje ludzi, groczyka.
3. Otwiyrajcie pani-matko z zapory,
bo wieziymy dwoje ludzi do pory.
4. Otwiyrajcie pani-matko z rzeconga,*)
bo wieziymy dwoje ludzi od ksiyndza.

VII. Szwagierecku ostry, nie bij-że mi siostry,
bo moja siostry, nie do kija rosła,
tylko do roboty, szwagierecku złoty.

*) drewn. zasuwka we furtce.

WIERZENIA, PRZESĄDY, LEGENDY W POWIECIE CZARNKOWSKIM

(ZEBRAŁ ADAM DYTKIEWICZ)

Nader interesujący to powiat.

Część zachodnią, zamieszkują Mazurzy, sprowadzeni na nizinę nadnotecką przez ks. Sapiehę w końcu XVII wieku. Mówią: zaba, mys, sydło, scotka. Lud ten stworzył sobie swoje pieśni, swoje zwyczaje, swoje wierzenia, przesądy, legendy.

Rosko, Wrzeszczyna, Pęckowo, Miała, Piłka, Drawsko, Mężyk, Marylin, Biała — to wsie zamieszkałe przez Mazurów. W tych wioskach, usłyszeć można po chatach różnorodne opowieści, baśnie, legendy i wierzenia.

Podaję tu materjały zebrane z ust ludu w latach 1928/29.

Na św. Jana lud wkłada w szczeliny chat, chlewów, stodół gałęzie olszynowe, ażeby „zabezpieczyć" dobytek gospodarski od czarów i przepowiedni „mądrych"

— — — — — — — — —

Gospodarzowi podczas zasiewu zboża nie wolno oglądać się, ni spojrzeć za siebie, gdyż ptaki wyzbierają mu zasiane ziarna.

— — — — — — — — —

Ażeby cholera nie nawiedziła wsie, winni dwaj bracia „oborać" wioskę dokoła. Bracia muszą być bliźniakami, pług muszą ciągnąć dwa woły — bliźniaki. Tak oboraną wieś uchroni się przed cholerą. Wieś Gorag oborano w ten sposób w 1878 r.

— — — — — — — — —

Gospodarz, powracający najpierwszy z rezurekcji do swej chaty, otrzyma w czasie żniw najlepszy plon z pszenicy.

— — — — — — — — —

Jeśli gospodarz życzy sobie, ażeby jego konie były tłuste (spaśne), powinien ukradkiem, podczas nocy zabrać nieco obroku koniom sąsiada i ten — podać koniom swoim.

— — — — — — — — —

Przy sadzeniu ziemniaków, nie trzeba ominąć dołka. W razie ominięcia — sadzący ziemniaki umrze w ciągu roku.

— — — — — — — — —

Sięgający czasów pogańskich zwyczaj, nosi nazwę „świerciska". Obchodzą go w okolicach Roska, w niedzielę śródpostną. Młodzież obwiązuje drewniany krzyż słomą i przystraja gałązkami świerku. Po nieszporach odbywa się „wynoszenie" świerciska. Idą chłopcy i dziewczęta, idą dzieci i starzy śpiewając „świercisko ze wsi, nowe lato do wsi, kto nie pójdzie za świerciskiem temu rzepa wzejdzie".

Przybywszy na pobliski pagórek, palą „świercisko". Obrzęd ten oznacza koniec zimy.

— — — — — — — — —

Dzień smutku.



Stanisław Brzęczkowski Wnętrze kościoła (lin. oryg.)

W przeddzień pogrzebu zbierają się sąsiedzi i przyjaciele w izbie zmarłego i śpiewają pobożne pieśni. Wieczór ten nosi nazwę „pusta noc".

Już idę do grobu smutnego, ciemnego,
Tam będę spoczywał do dnia sądnego,
Gdzie możni królowie
moc kości składają,
Księża, panowie
w proch się obracają,
Gdzie mężny Herkules,
gdzie można Judyta,
Gdzie Samson waleczny, kto chce
niech się spyta,

Już idę do grobu,
nie biorę nic z sobą,
Postaci okrytej śmiertelną żałobą
Tylko cztery deski,
siedem łokci-szata
Taka to zasługa z mizernego świata
Już księżyc i gwiazdy
świecić mi przestaną
Robactwo, zgnilizna
przymnie się zostaną
Już idę do grobu,
już żegnam się z wami.
Z braćmi, siostrami i przyjacielami
I wam też sąsiedzi
dziękuję stokrotnie,
Żeście na moj pogrzeb
przybyli ochotnie.

(Sarbja pow. czarnk.)

— — — — — — — — —

Na ziemi wieleńskiej oglądać można wieżę należącą kiedyś do ks. Sapiehy. Do jednej z cel wieży wtrącono na rozkaz księcia jego przyjaciela Jura. Przeciwstawił się on propozycji podpalenia lasu przez Sapiehę. Jak głosi podanie Jur zginął w tajemniczy spisób, zaś ks. Sapieha umarł na schodach wieży.

(Wieleń pow. czarnk.)

— — — — — — — — —

Na wzgórzach Lubasza, stał przed dawnemi laty kościół. Owcześni mieszkańcy, jak opowiadają starzy ludzie, obrażali Boga. Za karę kościół zapadł się. Wówczas lud postanowił się poprawić. Za przyczyną Matki Boskiej, którą ujrzeli pasterze na „krasnej" łące, wzniesiono kościół nowy.

(Lubasz pow. czarnk.)

— — — — — — — — —

Tuż za Czarnkowem znajduje się góra „Krzyżowa". Nazwę wywodzi od krzyża, który stoi tam od niepamiętnych lat. Według podania, krzyż ten wzniósł Bolesław Krzywousty po odniesieniu zwycięstwa nad Pomorzanami.

(Czarnków)

— — — — — — — — —

W wiekach średnich na północny-zachód od Czarnkowa stał klasztor pod wezwaniem św. Jana. Zakonnicy uciskali biednych chłopów, gnębili mieszkańców — powszechnie mnichów nie lubiano, tembardziej że prowadzili życie niemoralne. W noc świętojańską urządzili zabawę. Upiwszy się (pili z kielichów kościelnych), poczęli buźnić, śpiewali pieśni bezbożne. Bóg rozgniewał się na swe sługi. Nadciągnęła burza — piorun uderzył w klasztor. O świcie ujrzano górę w kształcie wielkiej mogiły. I dziś ją możemy oglądać. Z głębi ziemi dobywają się głuche jęki dzwonów i żałosne nawoływania. (Czarnków.)

LEON KACZMAREK:

ROK W JAROCINIE

Mija już rok prawie od chwili, kiedy na kartach „Wici" ukazał się list z Jarocina. Czas zatem, ażeby znowu dać znak życia o sobie. W niniejszem sprawozdaniu chcemy, w przeciwieństwie do poprzedniego, podać tylko jaśniejsze strony naszego życia kulturalnego. O cieniach zaś, jakkolwiek wcale nie znikły, zapominamy, choćby w myśl pewnego przysłowia, że niektórych rzeczy nie należy zbytnio rozmazywać, bo... da się to łatwo zrobić. Niebrak bowiem mimo wszystko pozycyj, godnych zarejestrowania.

Znaczne ożywienie można było zaobserwować w dziedzinie teatralnej. Jeśli jednak chodzi o widowiska amatorskie, to — mało, gdyż było ich tylko cztery, (w tem jedno — zorganizowane przez stowarzyszenie zamiejscowe). Gościliśmy zato „filje" *Teatru Narodowego*, zespół *Operetki Poznańskiej, Teatru Wielkopolskiego*, (a raz także krakowskiego *Teatru Polskiego)* i to tak często, że rolę dawnego *Towarzystwa Przyjaciół Sceny* przejęli artyści poznańscy. Nawiasem wyrazimy nadzieję, że kiedyś może odżyją tradycje amatorskie, chociaż jak dotychczas — cicho. Grano zwykle sztuki wystawione już w Poznaniu („Pieniądz nie jest wszystkiem", „Hrabia Luxemburg", „Katja tancerka" itd.). W repertuarze przeważały operetki, które zresztą miały zawsze większe powodzenie, „jak na Jarocin" nawet dość duże. Wszystkie przedstawienia, *gdy pominie się*, zrozumiałe ze względów technicznych, niedociągnięcia dekoracyjne, zadowalały widownię. Czasem wszakże odczuwało się jakby *lekceważenie* publiczności przez niektórych artystów, co oczywiście podobać się nie mogło.

Zupełnie niewystarczającą była ilość koncertów. W obchodzącym nas czasokresie odbyły się dwa, oba wokalno-instrumentalne. Wieczornica muzyczna orkiestry symfonicznej i chóru męskiego *Hasło* przy K. P. W. w Ostrowie (14. IV. 35) wypadła dobrze, do czego w dużej mierze przyczynił się dyrygent, p. Mendyka. Głównym punktem programu była „Bajka" Moniuszki. Również *Chór Kościelny*, liczący obecnie wraz z orkiestrą 120 osób, nie sprzeniewierzył się dotychczasowej opinji. Niedawna „audycja muzyki religijnej" (14. IV. 35) była tego najlepszym dowodem. Dzięki niewyczerpanej wytrwałości prof. L. Kunza zespół, acz amatorski, wykonał trudne utwory, jak J. Grubera Mszę op. 31, ks. J. Surzyńskiego „Gloria Tibi Trinitas", Kirje ze mszy „Aeterna Christi munera" G. P. Palestriny, pewnie i z całkowitem zrozumieniem.

Od wielu lat (może mylimy się!) niespotykaną w Jarocinie imprezą były wystawy. Ostatnio przeżywało się niby sezon tychże. Popularność, jednak nie taką, na jaką zasługiwała, zdobyła *Wystawa sztuki współczesnej*, urządzona przez grupę artystów-harcerzy z Poznania (7—14. IV br.). Pokaz kilimów, gobelinów itp. *Szkoły Tkackiej* z Glinian wzbudzał zaciekawienie. Niespodzianką, trzeba przyznać miłą, stała się, zorganizowana w y s i ł k i e m *Zespołu nauczycieli przyrody i geografji*, a przy współudziale *Zarządu miejskiego*, „wystawa regjonalna naszego miasta" (11 i 12. IV. 35). Do ciekawszych rzeczy należały pochodzące z XVII wieku wota z kościoła św. Marcina, a nadewszystko taca w stylu gotyckim z wieku XV-tego, wykonane rękoma miejscowych mistrzów. Niemałe zainteresowanie wywoływały wykresy zaludnienia, zawodów, stanu i długości ulic, zużycia gazu i elektryczności itd., dalej podglebia z zasięgiem węgla brunatnego, historja dążeń odrodzeniowych w fotografjach... długoby wyliczać. Całość wystawy łączyła — w granicach możliwości — przeszłość z teraźniejszością, uwypuklała skuteczne starania jednostek, społeczeństwa i zarządu miejskiego koło rozbudowy i podniesienia kultury materjalnej i duchowej miasta. Do pochwycenia owej myśli głównej pomagały żywe, dowodzące o umiłowaniu środowiska, objaśnienia p. Janowskiej, przewodniczącej *Zespołu*. Swoisty charakter miały wystawy gimnazjalna i międzyszkolna. Pierwsza przedstawiała dorobek pracy uczniów itp. Pomysłem wyróżniał się cykl obrazów prof. Orłowskiego p. t. „Jarocin w obrazach", będący też częścią wystawy regjonalnej. Wystawa międzyszkolna miała na celu zapoznanie rodziców z potrzebami szkolnemi uczniów, z przebiegiem ich pracy itp., zatem zilustrowanie całego życia szkolnego. Jeśli nie spełniła zamierzeń, winę ponosi mała obecność rodziców.

Jak gdzieindziej, tak i u nas odbywały się powszechne wykłady uniwersyteckie. Dziwne jednakowoż nieporozumienie panowało między publicznością jarocińską a prelegentem. Gdy bowiem dopisała publika, „przyciągnięta" tematem, zawiódł wykładowca, gdy zaś ostatni mógł porwać odczytem, brakło słuchaczów. I kto zawinił?!

Rola „Gazety Jarocińskiej", zaznaczona w zeszłorocznym raporcie, nie odmieniła się. Liczne artykuły (Przed wiekiem wokół Jarocina, O nazwie Jarocin, Opracowanie „legend jarocińskich" i i.), które ukazały się w grudniu 1934 roku i styczniu br., jakoteż wprowadzony w maju kącik krajoznawczy, „Niema jak nasz kraj", pozwalały mieć naezieję, że „G. J." rozwinie w tym kierunku usiłowanie. Pomyślne zacządki utknęły (wspomniany dział znikł w miesiącu założenia wraz z ustąpieniem inicjatora) i wszystko zdaje się zapowiadać, że długo będzie — bez zmian. Znaczny zato postęp wykazuje redagowanie „Błysków", ale zakradł się tu przesadny, naszem zdaniem, patos. W każdym razie są w rozwoju na dobrej drodze.

Nadspodziewanie zapisał się Jarocin na polu wydawniczem. W bieżącym mianowicie roku ukazała się pierwsza część pracy St. Karolczaka p. n. „Z dziejów powiatowego miasta Jarocina". Książeczka opisująca wypadki w latach 1913—18, jest rodzajem pamiętnika, opartego w przeważnej części na wspomnieniach autora i relacjach innych uczestników powstania wielkopolskiego. Charakter publikacji każe przypuszczać, że wywoła — nieodłączne w podobnych razach — poprawki, sprzeciwy itd., jeśli nie w postaci artykułów, to „od wnątrza". Dotąd taki przyczynek ogłosił w „Gazecie Jarocińskiej" J. Borecki. Pozatem wydano „Trzy pieśni kościelne" na chór mieszany à capella w opracowaniu Lucjana Kunza. Dwie pierwsze pieśni („Twemu Sercu cześć składamy" i „Królowej Anielskiej śpiewajmy") cechuje przedewszystkiem doskonała, miła harmonja z częstem używaniem kontrapunktu. Są przez to nadzwyczaj wdzięczne do śpiewania, co uwydatnia się zwłaszcza w pieśni trzeciej (z Godzinek: „Zacznijcie wargi nasze..."), której chcielibyśmy, jakoże najbardziej nam się upodobała, więcej nieco poświęcić słów. Rozpoczyna się głosami żeńskiemi; tym odpowiadają męskie; „dialog" kończą mieszane i da capo. Ujęcie tego recitativa w trzytaktówki nie psują w niczem jego właściwości, nie krępuje i nie hamuje płynności i tok melodji biegnie swobodnie. Naogół opracowanie nie kłóci się z prostotą i powagą, zwykłą muzyce kościelnej. Przewijające się zaś czasem przejścia polifoniczne, jak i pierwiastki modernistyczne, jednak bez momentów krzykliwych i zbyt jaskrawych, dodają mu niezwykłego uroku słuchowego.

Do podanego zeszłym razem wykazu „pracujących" w regjonie należy

włączyć M. Poznańskiego, ucznia prof. Wiktora Gosienieckiego. Najważniejszym rezultatem pracy, którym może się poszczycić, są wnętrza świątyń (Kotlin i w Jarocinie prezbiterjum ewangelickiego kościoła). O kotlińskim kościele miał b. pochlebnie wyrazić się m. in. ks. bkp. Laubitz. W zaciszu opracowuje Poznański pejsaże, kompozycje figuralne, portrety, głowy w technice olejnej lub w akwareli, a także, choć rzadziej, ołówkiem. Szkoda wielka, że czynniki decydujące nie powierzyły wykonanie naszemu artyście przynajmniej jednego obrazu w kościele Chrystusa Króla. Z największą pewnością otrzymałaby parafja zamiast obrazów, w których zachwycić może kilka udatnych szczegółów i... wielki podpis, płótna starannie wykończone, pilniej wystudjowane i artystycznie wyższe.

Tak mniejwięcej przedstawiałby się, niedokładny zresztą, przekrój życia kulturalnego. Przed zakończeniem godzi się wspomnieć o zamysłach, jakie w najbliższym czasie mogą się rozwinąć. Wybija się zamiar wydawania pisma krajoznawczego (przygotowania są już daleko posunięte) przez Koło Studentów Jarociniaków, które, zostawszy niedawno członkiem Z. Z. A. K., ma także szerokie dane do realizowania postulatów zjazdu w *Pałacu Działyńskich*. Na jesień towarzystwo wydawnicze muzyki polskiej *Ormuz* z Warszawy zapowiada interesujące koncerty, a jeden z miłośników pieśni ludowej tak modne dziś „wesele“, „Wesele w Goli“. Jak i czy te zapowiedzi urzeczywistnią się i o wszystkiem, co nowego czas przyniesie, powiemy następnym razem.

PIĘĆDZIESIĘCIOLECIE ŚMIERCI LITERATA WIELKOPOLSKIEGO HIERONIMA FELDMANOWSKIEGO

(1823—1885)

Jedną z najwięcej ciekawych postaci w świecie literackim Wielkopolski zeszłego stulecia jest Hieronim Feldmanowski, którego pięćdziesięciolecie śmierci przypada na miesiąc lipiec rb. Feldmanowski był samoukiem, który przez pracę nad sobą zdobył sobie zaszczytne miejsce w świecie naukowym i literackim Polski zachodniej. Postać to nadzwyczaj ciekawa. Zasługuje na obszerniejszą monografję.

Skończywszy seminarjum nauczycielskie Feldmanowski poświęcił się całkowicie nauce i pracom literackim. Jako gorący patrjota brał udział w powstaniu w r. 1848, był ranny pod Miłosławiem i odcierpieć musiał karę więzienia w kazamatach poznańskich. Nauczył się sam języka łacińskiego, francuskiego i włoskiego. Pisał dużo do różnych czasopism, wydawał książki („Życie Benvenuta Cellini“, „Drobnostki poetyczne“, „Pieśni i przekłady“, „Pieśni ilirskie“, „Pieśni kroackie“, „Album z podróży na wschodzie“, „Wenecja w przededniu roku 1866“ itd.). Zasłużył się też wielce jako konserwator zbiorów Tow. Przyjaciół Nauk. Jego znajomości archeologji, numizmatyki, historji sztuki, którą zdobył sobie własną pracą, była zadziwiająca. Jako współpracownik „Dziennika Poznańskiego“ zajmująco i trafnie oceniał obrazy i dzieła sztuki. Jego zasługą jest też zaprowadzenie ładu i porządku w zbiorach Tow. Przyjaciół Nauk, jako też pomnożenie tych zbiorów.

Feldmanowskiego znajomość języków obcych była nadzwyczajna. O tem świadczą zwłaszcza jego przekłady. Bardzo udatnie tłumaczył z języka niemieckiego, zwłaszcza dzieła Goethego i Szyllera, mam przed sobą jego dziełko: „Drobnostki poetyczne“ (Poznań, 1861. Nakładem księgarni J.K.Żupańskiego), w którem znajdują się m. i. tłumaczenia sześciu scen z Goethego „Fausta“ oraz pięknych ballad Szyllera. Aczkolwiek posiadamy dziś już nowsze przekłady arcydzieła mistrza Goethego „Fausta“ to jednak tłumaczenie Feldmanowskiego wyróżnić należy jako jeszcze dziś doskonałe i piękne. Jako próbę kunsztu przekładowego Feldmanowskiego zacytuję tutaj tłumaczenie wstępu do „Fausta“ pt. „Zueignung“, którego trafny przekład nastręcza zwykle dużo trudności:

DEDYKACJA

Znów zstępujecie, wy mary zwodliwe!
Owiane niedyś w niejasne zawoje.
Mamże was dzisiaj pochwycić pierzchliwe
I dawnym szałem łudzić serce moje?
Płyniecie ku mnie! Więc stawajcie żywe
Bez szat przedemną!
Zrzućcie mgliste stroje!
Czarowne tchnienie wieje od was z dala,
Młodzieńcze ognie w mem łonie zapala.itd.

Także piękne ballady Szyllera znalazły w Feldmanowskim doskonałego tłumacza. Piękny wiersz jego pt.: „Die Siegesfeier“ przetłumaczył nasz poeta wielkopolski jak następuje: (1 zwrotka)

OBCHÓD ZWYCIĘSTWA

Z murów Troi stos kamieni,
Pyszne gmachy w gruzach leżą.
A zwycięzcy upojeni
Zwycięstwami i łupieżą
Hyże nawy zapełniają,
Gdzie Hellespont szumi czysty,
Białe żagle rozpinają
Do odlotu w kraj ojczysty!
Pieśń weselną zaśpiewamy,
Bo lot statków odwrócony
W rodzin naszych miłe strony;
Do ojczyzny powracamy. itd.

Tadeusz Pietrykowski.

JANUSZ CZARNOWODZKI:

PRZYDROŻNY KRZYŻ

— huczały burze — srożyły się gromy —
wyjące wichry drzewa z ziemi rwały —
niejeden żywioł, zniszczenia łakomy,
przewlókł się światem — chmurami nabrzmiały
przestwór ten nieraz gradem schłostał ziemię —
łez i krwi całe spłynęły już rzeki —
tyle pokoleń poszło w zapomnienie —
— a patrz! — nad drogą krzyż stoi przez wieki!

— — wieki go tłoczą — zmurszały — schylony —
a patrz! — znów czarne piętrzą się odmęty — !
znów huczą gromy — ! — stoi — — ! i ramiony
objąć chce ziemię — już tak z nią zrośnięty! —
— — — z ziemią zrośnięty — a jednak nad ziemią!
— szczytem w przestworzach — w niebiosach napoły!!
— — — wiem — wiem skąd moce, co w drzewie tem drzemią!
— wiem, czemu krzyża nie łamią żywioły — — !

Krzyżu przydrożny! — u Twych stóp się ściele
Ojczyzna nasza — nasze polskie niwy —
— Ty Ojcom ongiś świeciłeś na czele,
jako znak chwały i zwycięstwa — żywy!
— Twoje ramiona, szeroko rozpięte,
mówiły Ojcom: „Tędy wasza droga!“ —
— — o weź nas znowu — weź w Ramiona święte!
obejmij Polskę — i prowadź do Boga — — —

MARJAN TURWID:

OPOWIEŚĆ O WIEŻY LEGEND

Podniosła mnie baszta, jak matka
unosi dziecko nad tłum,
by mu nad ciżbą głów,
nad ciżbą codziennych spraw
ukazać źródło dum
kolebkę wszystkich sław.

A — byłem u snów ostatka,
gdym legł u wieży stóp.
Zbyt wiele powszednich prób
waliło mnie w drodze z nóg.
Kamienie padały co krok,
wiatr miotał piaskiem dróg,
że chylić musiałem wzrok
nisko, tak bardzo nisko,
by — nie dostrzegać nic,
nad szarych spraw mrowisko.

By cień nie przeżarł lic
i nie wdarł się pod powieki
spieszyłem do świętej wieży
spragniony, jak Arab, gdy bieży
przez pustyń kraj daleki
po światło Hedżasu —
do Mekki.

Na wzgórzu wieża rośnie
twardo ciosana, surowa,
jak męskie i cierpkie słowa
o polskiej wiośnie.

Niema tu świateł ni ciszy
w tym świętych legend meczecie —
Życie zwyczajnie się plecie,
ludzie się roją, jak myszy.

Myszy zagryzły Popiela,
niema tu nawet Piasta, —
jest — jeszcze jedna więcej
banalna i upalna
niedziela małego miasta.

Niedziela zalewa wieżę
małemi, mysiemi sprawy —
U baszty bram stojąc, nie wierzę,
bym dotarł do skarbca sławy.
Nie wierzę, nie widzę, nie słyszę —
Niema tu nic z tajemnicy
więc — kilka banalnych kart piszę,
kart kilka z widokiem Kruszwicy.

I — bilet kupuję wstępu
na wieżę, — za kilka groszy —
wystarczy, by z baśni strzępów
ostatni promień wypłoszyć.

To wszystko — i zanim z niczem,
uboższy, niż wszedłem powrócę,
pozwólcie, że łachman marzeń
ze szczytu wieży wam rzucę.

Jak zbeszczeszczony sztandar
nie wciągnięty na maszty
wnoszę umarłe legendy
do wnętrza baszty.

Podnosi mnie baszta, jak matka
unosi dziecko nad tłum
by mu nad ciżbą głów,
nad ciżbą codziennych spraw
ukazać źródło dum,
kolebkę wszystkich sław.

I tak podniesion, gdy patrzę
wzrok zerwie się przed się — jak ptak,
co długo więziony w cieśni
na wolny wyrwał się szlak.

Nie stanie mu nic na przeszkodzie
Co mysie — przepadło u stóp.
Wysoko w błękitach brodzi
potężnej wieżycy słup.

Het — za oddaleń mgłę
odbiegł widnokrąg od wieży...
odsłonił równinę szeroką
dozwolił odetchnąć jej szerzej.

Jak srebrno-zielona misa
lśni — z jezior wykuta i łąk.
Polerowały ją wieki,
toczyły miljony rąk.

Tam w dole, wciąż kują, wciąż toczą
a z góry, gdy patrzysz, — jak w bajce
(choć własnym nie wierzysz oczom)
ległeś spojrzeniem w mozajce.

Mozajki kamienie dobrane
najczystszej barwy i wody:
...miasteczka i wsie spracowane,
i pola i drogi i grody...

szmaragdy łąk i zbóż złoto
i cieńkie łańcuszki strug
i drzew przydrożnych korale
nizane na wstęgi dróg.
A kamień mozajki najdroższy,
mieniący się srebrem i stalą —
— Gopło, wśród pól szachownicy
szeroką rozlane falą...

Z wyżyn — mozajko misterna,
z niska widziana i z bliska
kamieni twoich klejnoty,
zmieniasz w robocze ścierniska.

Gdy w prochu przyziemnym leżysz,
nie ufaj spojrzeń granicy.
Rośnie potężny słup wieży
ponad równiną Kruszwicy.

Baszta surowa, szeroka
wparta w grunt krzepko i hardo
służbę wypełnia od wieków
odpowiedzialną i twardą.

Marzeń łachmany szare
podnosi na dumne maszty,
by łopotały sztandarem
na szczycie baszty.

Podnosi mnie baszta, jak matka
podnosi dziecko nad tłum

— — — — — — — — — — — — —

Nad ciżbą powszednich snów,
nad ciżbą codziennych spraw
w i d z i a ł e m źródło dum
złocistą kolebkę sław.

TEODOR ROSICKI:

NAJGORSZY DZIEŃ JANA DUBY

(Autor niniejszego opowiadania to prosty robotnik fabryczny. Pracę jego drukujemy bez jakichkolwiek zmian i poprawek. Czytelnikom naszym przedstawiamy młody i swoisty talent. Red.)

Nic tak nie imponuje ogromem jak fabryka — wielki budynek o brudnych, okopconych murach. Z wysokich kominów unoszą się dymy, nad dachami gęste woale pary, a gwizdy i ryki słychać daleko.

— — — — — — — — — —

Jan Duba na nocną zmianę szedł wolno i ociążale. Krok za krokiem stawiał, jakby szedł na stracenie. Przeczucie, że spotka go coś niedobrego owładnęło nim i wywoływało dziwną niechęć po raz pierwszy chyba w życiu. Ośm lat blisko przepracował już, chodząc codziennie na nocną lub dzienną zmianę z uczuciem przyjemnego zadowolenia. Zdawało mu się, że jest główną sprężyną ruchu całej fabryki, że on nadaje pęd i kierunek każdemu walcowi, każdemu kołu i trybowi. Przypatrywał się czarnym cielskom maszyn, przysłuchiwał się rytmom ich pracy i odgadywał instynktem raczej, niż słuchem, każdy fałszywy zgrzyt i ton nieharmonijny.

Codziennie witał je uśmiechem i pytał w duchu:

— Jak się macie?

— Dzień — do-bry. — Przy-szedłeś? — Do-brze. — Do-brze... odpowiadały hucznie, wybębniając każdą zgłoskę rytmicznie.

Rozumiał je doskonale. Zaraz też zabierał się do nich i przykładając rękę, badał gorączkę części pochodzącą z nadmiaru wytężenia.

— W porządku — mawiał.

Niekiedy zastanawiał się nad wytężoną pracą silników. — Tysiąc obrotów na minutę! — co za szalony pęd, co za wielkie zadanie włożone na nie...

Idąc, rozmyślał właśnie o powierzonych mu z całem zaufaniem stalowych potworach.

Na tle ciemnego nieba zarysowały się wyraźnie ponure, słabo oświetlone kontury fabrycznego gmachu.

Przez wielkie zasuwane drzwi wszedł do środka.

Stanął olśniony jasnością. Buchnęło na niego tysiące przeróżnych odgłosów i szczękotów trącego się wzajemnie w ustawicznym biegu żelaziwa.

Rozglądał się chwilę w niemem skupieniu. Nie powitał dzisiaj, jak zwykle uśmiechem, swoich ulubionych maszyn, ale z głową opuszczoną począł się wlec ciężko środkiem tych huczących bestyj. Zdawało mu się, że nogi ma z kamienia, że, co jedną podniesie i postawi na zaoliwionej posadzce przygniata władnie te czarne ropuchy, stojące rzędami pod ścianami, aż stękają silniej niż zazwyczaj.

— Władca przyszedł! — wołają. Ściany trzęsą się z lęku, posadzka drży, jakby się ziemia rozpękała. On odczuwa to, rozkosz go obejmuje i cieszy się z ich bojaźni.

Stanął na swym posterunku, słowa nawet nie zamieniwszy z poprzednikiem, skinął mu tylko ręką, że jest wolny.

Poczyna chodzić od maszyny do maszyny. Bada czy oliwy jest wszędzie pod dostatkiem, czy nie brakuje smaru; pieści je szorstką dłonią.

Spogląda na kociołki z parą i widzi manometry o wysokiem ciśnieniu. Zdaje sobie sprawę z siły, jaka się w każdym z nich znajduje. Jedno fałszywe przekręcenie wentyla, a powstanie straszny wybuch ujarzmionych sił.

Na myśl o tem, napadło na niego znowu owo złe przeczucie, które mu dziś ciągle towarzyszy. Owładnął nim lęk. Oczy rozwarły się szeroko i spojrzały dziko. Jakżeby chętnie stąd uciekł, ale maszyny szczekają:

— Stój! — Stój!

Właśnie ktoś przechodzi koło niego i coś mówi.

— Dobrze — odpowiada Duba zupełnie przytomny. — Zęby przecież na tem zjadłem — dodaje, by upewnić, że można na nim polegać.

Nadzorca przystanął w pewnem oddaleniu i odwróciwszy się, przypatruje się Dubie.

Wygląda, jak pijany.

Urzędnik patrzał badawczo, ale wspomniawszy jego słowa, oddalił się uspokojony.

Tymczasem Duba chodzi od maszyny do maszyny, przystaje przy nich, porozumiewa się z niemi po swojemu. Lecz, gdy owo złe przeczucie silniej zarysuje się na chwilę w jego mózgu, traci pewność siebie, jest roztargniony i nie wie, co w rękę chwycić. Spogląda w kąty na leżące cienie i widzi w każdym z nich coś potwornego.

W tem od fundamentów aż do dachu wstrząsnął gmachem ryk syreny.

Coś się popsuło.

Przelatuje jakiś człowiek.

— Odkręcić parę! — krzyczy.

Duba nie rozumie tych najprostszych słów. Nie wie co ma zrobić; patrzy jak błędny i nie może się ruszyć z miejsca.

Zaroiło się raptem ludźmi — widzi biegnących tu i tam.

Zdaje mu się, że tupot nóg wybija się ponad metaliczny dźwięk maszyn.

— Tak było zawsze spokojnie — myśli.

Przybiega nadzorca.

— Para otwarta! — ryczy.

Para?!!

Twardy dźwięk przedarł się gwałtem do jego mózgu. Zrywa się z miejsca, ale tamten pierwszy doskakuje do kotła.

Wskazówka manometru stanęła już na martwym punkcie. Kocioł poczyna drgać, po chwili rwie się coś... Kilka obrotów i wentyl zostaje otwarty, rycząc, wydobywa się para. Jednocześnie następuje wybuch. Grube wieko kotła trzasło niby łupina i wyleciało w powietrze, przebijając sufit. Cała hala napełnia się parzącem kłębowiskiem białej mgły.

W fabryce wszczął się ogromny popłoch. Biegano tu i ówdzie, dopytując się, co się stało. Robotnicy byli zaniepokojeni. Dopiero gdy para się ulotniła lub opadła, rozejrzano się w sytuacji. Wybuch nie uczynił wielkich szkód, poparzony został tylko urzędnik, lecz niezbyt dotkliwie.

— I kto w tem zawinił?

Wszystko zwalono na Dubę. Zarzucono mu niedozór. Natychmiast zwolniono go z pracy i kazano mu pójść precz.

Ale on uparł się i nie chciał opuścić posterunku. Więc popchnięto go ku wyjściu. Szedł, stawiając kroki automatycznie, w miarę jak go popychano. Bez ceremonji wyprawiono go za bramę. Pod wpływem rzeźwego powietrza, powróciła mu zupełna przytomność. W głowie tylko pozostał mu jeszcze ogromny huk, w którym pojedyńczo rozróżniał rytmiczny stuk każdej maszyny z osobna. Teraz również doszło do jego świadomości zrozumienie kolejności wydarzeń.

— Za co? — pytam sam siebie z goryczą.

Zdaje mu się, że odpowiedź znajduje w przeciskających się przez grube mury przytłumionych odgłosach.

— Za nie-do-zór.

Łączy się z tem jakby zgrzytliwy szatański śmiech:

— Idź sobie! idź!

— Zęby na tem zjadłem — mówi sam do siebie. — Tyle potu i sił tutaj wydałem.

Gorycz przemienia się nagle w złość.

— Wyganiasz mnie potworze od siebie?

Pójdę! A ty bądź przeklęty!

To znowu zdaje mu się, że jest dzieckiem skrzywdzonem i łzy gorzkie spływają mu po policzkach.

— Pójdę! — powtarza.

Ruszył krokiem starego człowieka, zgarbił się i ręce opuścił luźno w dół.

Raz poraz odwraca się, spogląda na ponury masyw, na ciemniejsze od mroku dymy — patrzy tęsknie i smutno i człapie powoli, powoli do — nikąd.

LISTY Z REGJONÓW

Ze Śląska

Kulturotwórcza ambicja Śląska.— Instytut Śląski przy pracy. — Tow. Przyjaciół Nauk i jego rocznik. — Społeczno-literacka „Kuźnica". — Wystawa krakowskiej „Sztuki". — Ostatnie sztuki teatru katowickiego.

Głośno już dziś o Śląsku. Zaczyna tu bowiem rozkwitać bujne życie duchowe w dziedzinie kultury naukowej, literackiej, artystycznej i muzycznej.

W najmłodszej dzielnicy Rzeczypospolitej „wytwarza się możność inflacji kultury, narzuciły się wielkie, z punktu widzenia ideowego, artystycznego i naukowego zjawiska i zagadnienia i konieczność zajęcia wobec nich stanowiska; zrodził się ważny w duszy śląskiej pokład uczuciowy: ambicja kulturotwórcza i ekspansja kulturalna".

Moc wątków socjalnych, politycznych i społecznych tworzy tematy. Śląsk idzie ku uskrzydleniu przeogromnego patosu życia w „twórczem zmaganiu się z nim": poeta, plastyk, uczony — otworzyli już swoje warsztaty i tworzą.

Instytut Śląski, niedawno powołany do życia stworzył podstawy organizacyjne dla systematycznej pracy naukowej na Śląsku przez badanie obecnego stanu nauki polskiej, nawiązał kontakt ze wszystkiemi czynnikami naukowemi i społecznemi. Pierwszym wynikiem tych prac będzie wydawnictwo „Stan i potrzeby nauki polskiej na Śląsku" oraz „Praca Kulturalna na Śląsku". Ponadto podjęte zostały badania językoznawcze na terenie Śląska Opolskiego. Prace wydawnicze Instytutu obejmują: „Pamiętnik Instytutu Śląskiego", Bibljot. Pisarzy śląskich oraz Komunikaty omawiające różne aktualne zagadnienia.

Przygotowane jest również nowe wydanie mapy Śląska w podziałce 1 : 100 000. „Zaranie Śląskie", kwartalnik literacko-regjonalny w Cieszynie, stał się wspólnem wydawnictwem Instytutu i Towarzystwa Ludoznawczego. Dział informacji naukowej ma za zadanie rozszerzenie i pogłębienie wiedzy o Śląsku. Wydaje się przeto Komunikaty z wykazem literatury bieżącej o Śląsku i prowadzi się akcję odczytową. Nadawane są ponadto tygodniowe audycje propagandowe w Rozgłośni Katowickiej pt. „Co słychać na Śląsku".

Również owocną jest działalność Tow. Przyjaciół Nauk, jakkolwiek dość nieregularnie ukazują się roczniki naukowe np. ostatni, który niedawno opuścił prasę drukarską z trzonowemi pracami: prezesa Dr. Emila Szramka o Śląsku, jako problemie socjologicznym i Franciszka Popiołka o szpitalach cieszyńskich. Wyczerpujący artykuł „o Janie III Sobieskim na Śląsku w 1683" i o „Sobiescianie na Śląsku" napisał Kazimierz Piwarski. Z zakresu sztuki kościelnej kustosz naszego Muzeum Dr. Tadeusz Dobrowolski ogłosił wartościową pracę o gotyckiej polichromji kościoła w Jesionnie (na Śląsku Opolskim. Ciekawym jest również artykuł Brożka i Oskara Michejdy o powojennej prasie polskiej na Śląsku Opolskim. Rocznik, godny przeczytania i zgłębienia zamykają nekrologi wybitnych ludzi, dział „Z umysłowego życia Śląska" oraz interesujący artykuł o Instytucie Śląskim.

W regjonie naszym zaczął wychodzić nowy miesięcznik literacko-społeczny poświęcony zagadnieniom Śląska i współczesności. Miesięcznik nazywa się „Kuźnicą". Pismo redaguje niezwykle starannie Paweł Musioł, młody krytyk śląski i publicysta literacki. Poza artykułami czysto kulturalnemi,spotykamy na łamach potrzebnego tu pisma i artykuły społeczne. Redakcja zakreśliła sobie plany na przyszłość: organizować wieczory dyskusyjne i budzić społeczeństwo z powojennego marazmu i ciasnoty kulturalnej.

Katowice gościły wystawę dzieł największych naszych malarzy. Dzieła wystawiała bowiem „Sztuka" krakowska (Tow. Art. Pol. założone 1897 r.). Katowicka wystawa była 98 z kolei, od czasów powstania Towarzystwa. Skupia ono dzieła o nieprzeciętnej wartości i artystycznych walorach: Axentowicza, Vlastimila Hofmana. Pautscha, Karpińskiego, Weissa, Sichulskiego, Filipkiewicza, Pieńkowskiego, Kamockiego, Aneri (żony art. Weissa), Dadlera i Popławskiego. Wystawy plastyczne przyjęły się na gruncie katowickim i tłumnie są zwiedzane przez publiczność śląską. Objaśnień udzielał red. Dienstl-Dąbrowski.

Teatr katowicki zamknął już swoje podwoje. W sezonie wiosennym cieszyły się ogromnem wzięciem: „Cień" Nicodemiego, reżyserowany przez p. Kochanowicza, „Małżeństwo Loli", komedja Henryka Zbierzchowskiego, „Pan Naczelnik to ja" oraz „Cudzik i Spółka", świetna komedja Kiedrzyńskiego, z kapitalnym Fertnerem w roli tytułowej. Oprawy dekoracyjne dał pomysłowy p. Jarnutowski.

Przeglądając repertuar teatru katowickiego stwierdzić znowu trzeba, jak w roku ubiegłym, że na pierwszym planie lubi publiczność sztuki lekkie, wesołe, a więc komedje i operetki. Sztuki zaś o wartościach społecznych i ideowych, ciężką tu mają przeprawę. Ponadto teatr nasz dał cały szereg przedstawień na prowincji.

Oto pokrótce wszystko.

KRONIKA

Wszystkie linoryty zamieszczone w niniejszym zeszycie „Wici Wielkp." są dziełem bydgoszczanina Stanisława Brzęczkowskiego. Brzęczkowski — to jeden z najwybitniejszych dziś grafików wielkopolskich. Uznany nietylko w kraju. Ostatnio wziął również udział w reprezentacyjnej wystawie sztuki polskiej w Berlinie. „Wici" twórczością Brzęczkowskiego zajmą się obszerniej — w jednym z najbliższych zeszytów.

Aleksander Janta - Połczyński wydał nowy tom wierszy p. t. „Wielki wóz", odbity w Rolniczej Drukarni i Księgarni Nakładowej w Poznaniu. W zbiorku znalazły się również utwory publikowane poprzednio w „Wiciach Wlkp.". Do książki tej wrócimy niebawem.

„Smętnice Ziemi". Pod takim tytułem ukazał się, czcionkami Drukarni Kujawskiej w Inowrocławiu tom nowel Franciszka Becińskiego. Szata książki b. staranna. Doskonałą okładkę projektował Alfons Kowalski.

Pięćdziesiąty zeszyt „Wici Wielkopolskich" ukaże się w formacie zwiększonym w listopadzie br. Prosimy wszystkich naszych współpracowników o nadsyłanie artykułów i wierszy do zeszytu jubileuszowego. Materjały prosimy kierować pod adresem Bydgoszcz, Staszica 4.

Na marginesie

Ignorancja czy zła wola?

„Życie kulturalne Wielkopolski"

Pod takim tytułem zamieścił swój artykuł p. Ludomir Rubach w majowym (9) numerze Miesięcznika Literatury i Sztuki, organie Komisji Art. Zw. Naucz. Polsk. w Warszawie. Po przeczytaniu Rubachowego artykułu doznałem niemiłego zdziwienia. Niewątpliwie to samo udzieliło się i innym czytającym „Miesięcznik". Autor rozpisuje się szeroko o powołaniu do życia Zrzeszenia Związków Artystycznych i Kulturalnych i jego promieniowaniu na prowincję wielkopolską, następnie mówi o poetach wielkopolskich wyrosłych na glebie wielkopolskiej i o tych, którzy tu przyszli i jęli się pracy; wspomina potem mies. poetyckie, wreszcie potrącił o Bydgoszcz i wrócił do teatrów poznańskich.

Autor nie poinformował czytelników uczciwie i wyczerpująco, gdyż pominął sprawy istotniejsze. Mianowicie przemilczał zupełnie narodziny i pochód „Wici Wielkopolskich" i ich bibljotekę regjonalną, pominął pracę pierwszych pracowników współczesnej kultury wielkopolskiej, wreszcie zapomniał o wysiłkach pracy wielkopolskiej, która bodajże ze wszystkich dzielnic Rzeczypospolitej najwięcej poświęca łamów zagadnieniom kulturalnym. (Czy np. Dział Kultury i Sztuki „Kurjera Poznańskiego" nic nie wnosi do kultury naszego regjonu?)

Trudno nam przypuścić, aby braki w informacjach p. Rubacha były — mimowolne. Działalność „Wici" i Wiciowców — jest dziś już nazbyt szeroko znana i ceniona. Czyż to nie paradoks, że np. taka „Prager Presse" więcej wie o istotnym współczesnym ruchu Wielkopolski kulturalnej niż — wymieniony miesięcznik warszawski poświęcony Literaturze i Sztuce?! Współczujemy czytelnikom pisma, którzy swą wiedzę o Wielkopolsce czerpią z tego rodzaju niesumiennych informacyj, jak artykulik p. Rubacha. A. Dytk.

Cena: pojedyńczy numer 40 gr. Prenumerata wprost z administracji z przesyłką kwartalnie 1,50 zł, półrocznie 3,00 zł, całorocznie 6,00 zł. Na poczcie tylko kwartalnie zł 1,05.
Do nabycia we wszystkich kioskach „Ruchu", we wszystkich kioskach gazetowych Poznania i Bydgoszczy, we wszystkich większych księgarniach Wielkopolski. - W Warszawie: Księg. Gustawa Szylinga, ul. Szpitalna 10. - W Krakowie: Księg. D. E. Friedlein.
Redakcja: Poznań, ul. Wszystkich Świętych 3. — Przedstawiciel redakcji prof. Wiktor Fabian.
Przedstawiciel redakcji na Warszawę: Dr. St. Helsztyński. ul. Grottgera 19 m. 13 — Tel. 8.45.48.
Korespondencje kierować należy do Administracji i sekretarjatu redakcji: Września, ul. Poznańska 6.
Nakładem i drukiem A. Prądzyńskiego we Wrześni. Konto P. K. O. Poznań № 200.057.